OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM.

GŁOS KANIOWCZYKÓW i ŻELIGOWCZYKÓW

ORGAN ZWIĄZKU KANIOWCZYKÓW I ŻELIGOWCZYKÓW

Nr. 9 WARSZAWA, WRZESIEŃ 1934 ROK II

TREŚĆ:

NIEZALEŻNI

Dzień 13 września r. b. będzie jedną z najpamiętniejszych dat w historji odrodzonej Rzeczypospolitej Polskiej. W dniu tym minister spraw zagranicznych Rzeczypospolitej p. Józef Beck na posiedzeniu Zgromadzenia Ligi Narodów w Genewie zatrzasnął drzwi, przez które wdzierała się do Polski nieproszona „opieka“ obca nad częścią jej obywateli.

Ta pozostałość naszej zależności porozbiorowej od obcych, często wrogich nam czynników, obłudnie przystrojona w idealistyczno-humanitarne szaty — przestała istnieć.

Narzucony nam w chwili naszego odrodzenia politycznego i chwilowej słabości naszej upokarzający traktat o ochronie miejszości narodowych, był tworem sztucznym, nierealnym. Polska racja stanu już od niepamiętnych czasów szła po linji najdalej posuniętej tolerancji w stosunku do zamieszkujących Rzeczpospolitą mniejszości. Nauk i wskazówek pod tym względem od innych nie potrzebujemy, raczej moglibyśmy ich innym udzielać. To też wkrótce jasnem się stało, że ten t. zw. traktat mniejszościowy był niczem innem, jak zamaskowaną próbą ograniczenia naszej tak krwawo zdobytej niepodległości. Pod jego skrzydłami mógł płatny dywersant czy nieuczciwy podatnik wzywać pomocy obcej i żądać kontroli nad działaniami naszych władz państwowych.

To też taki stan rzeczy, jako urągający naszym dotychczasowym wysiłkom i ofiarom, położonym dla zdobycia niezależności państwowej — musiał zniknąć. Domagała się tego cała Polska, jak długa i szeroka,



Minister J. Beck (z prawej) w Genewie udziela wywiadu.

a kropkę nad „i“ postawili rząd i minister, wywodzący się z pośród tych, co o niepodległość od zarania swego życia walczyli.

Ostatni etap naszej walki o niepodległość skończył się w Genewie w dniu 13 września 1934 r.

L. G—i.

Czerwony Krzyż

Czy istnieją w mowie ludzkiej dwa inne wyrazy, kojarzące równocześnie odmęt grozy i niewysłowione miłosierdzie? Zdaje się, że można przewertować wszystkie słowniki całego świata, wszystkie encyklopedje, przeanalizować niezmierne bogactwo słowa, ujawniającego się w natchnionych utworach wieszczów, lecz poszukiwania byłyby daremne.

W oślepiającym blasku reflektorów i rakiet rwą się granaty — grad pocisków, ryjąc się głęboko w ziemi, wyrzuca brudne fontany ziemi, jakby tysiące wulkanów raz wraz wybuchały dookoła, niszcząc wszystko koło siebie — złowrogi świst kul składa się w żarłoczną symfonję, łaknącą życia ludzkiego — gęste tumany obłoków gazowych żrą oczy i płuca. Śmierć tu chodzi na tem straszliwem polu walki, podcina i zmiata młode kłosy, zanim zdołały się rozwinąć.

Pole walki przeistacza się w jeden, wstrząsający jęk. W jęku oddają ducha ci, którym Boskim wyrokiem nie dane było już dźwignąć się z krwią zbroczonej ziemi, łkają i jęczą ranni, wzywają pomocy — kropli wody dla spragnionych ust, ukojenia, ratunku.

Czerwony Krzyż... Dlaczego Czerwony? Czerwień w mniemaniu rozpowszechnionem jest synonimem protestu. Przeciwko czemu protestuje czerwień, znacząca znamię męki Zbawiciela?

Mussolini w jednej ze swych mów, tak często obliczonych na efekt, twierdził, że wojna jest naturalnym etapem rozwoju ludzkości, że wytwarza elitę narodów, usuwając w cień to — co słabsze, a wywyższając elementy bojowe, mocne, przodujące ludzkości, słowem przyczynia się do doskonalenia się rodzaju ludzkiego. Pogląd ten, zgodny, być może, z opinją wielu historjozofów, jest całkowicie sprzeczny z zasadami etyki chrześcijańskiej, gdyż przechodzi lekko do porządku dziennego nad piątem przykazaniem: Nie zabijaj! Jeżeli zaś wzajemnie się zabijamy, jeżeli wylewamy potoki krwi w różnych celach, a zwłaszcza w celu zaspokojenia wygórowanych ambicyj imperjalistycznych lub uzyskania korzyści materjalnych — wówczas wojna jest przekleństwem ludzkości. Wojna, jako straszliwy akt porachunków, może być tylko wówczas święta — kiedy naród broni swego honoru i niepodległości.

Ale i tutaj — w stosunkach międzynarodowych — sofistyka przeżera umysły. Zagadnienie napastnika i napadniętego na tle ostatniej dyskusji politycznej w Europie nabiera swoistego, a często zdumiewającego charakteru. Jedni określają napastnika, jako tego, który przekroczył zbrojnie terytorjum obcego państwa, drudzy tłómaczą wkroczenie to argumentem, iż byłby to akt zapobiegający wkroczeniu sił obcych na własne terytorjum państwa. O definicję napastnika toczą się dotąd namiętne polemiki, a Niemcy twierdzą w dalszym ciągu, że one były zmuszone do wtargnięcia na obce terytorja w chwili wybuchu wojny i nie mogą za to ponosić odpowiedzialności(!).

W tym rozbieżnym rozgwarze o definicję Czerwony Krzyż nie zabiera głosu, gdyż jego zadanie i ideologja leżą w innej płaszczyźnie. Wierny posłannictwu przygotowuje się do swej misji charytatywnej, gdyż wie, że prędzej czy później, kiedy przebrzmią takie czy inne hasła, nieudolność myśli i ułomny charakter ludzkości poprowadzi ponownie miljonowe zastępy na straszliwy bój. Czerwony Krzyż na białem tle będzie nadal symbolem protestu przeciwko ludzkiej rzezi. Lecz spełni swoje zaszczytne zadanie, jak z najwyższem poświęceniem spełniał je podczas wielkiej wojny.

Ale wojna — to ostateczność. Czerwony Krzyż nakreślił sobie również i w czasie pokoju olbrzymie pole poświęceń i działalności. I tak, gdziekolwiek kraj zostanie nawiedzony nieszczęściem: powodzią groźnym pożarem, epidemją, głodem — tam wszędzie zjawiają się karne szeregi zrzeszonych w Czerwonym Krzyżu ludzi wielkiego serca i dobrej woli, a zwłaszcza ideowej społecznie młodzieży. Z narażeniem własnego życia zastępy idą w niebezpieczeństwo, byle pomóc nieszczęśliwym. Jeżeli zaś warunki i sprzyjające okoliczności na to pozwalają — Czerwony Krzyż przeprowadza często szeroko zakrojoną akcję profilaktyczną i sanitarną wśród ubogiej ludności na zaniedbanych przedmieściach, narażonej na wielkie niebezpieczeństwa wskutek fatalnych warunków mieszkaniowych.

Obecnie obchodzimy 15-lecie Polskiego Czerwonego Krzyża. Piętnastolecie dlatego, ponieważ przed tym okresem funkcje te pełniły organizacje państw zaborczych przy najczynniejszym zresztą udziale naszych braci międzykordonowych. Zarząd Instytucji zwrócił się z apelem do społeczeństwa o poparcie materjalne. Czyż wobec ogromu zadań można mu odmówić?!

KOLEDZY! WPŁACAJCIE REGULARNIE SKŁADKI I PRENUMERATĘ

T. RODZIEWICZ

Oddział Romański*)

Po przewrocie październikowym 1917 r. w Rosji, armja rosyjska, jako rządzona centralnie siła zbrojna, właściwie przestała istnieć. Istniały w niej jeszcze sztaby i łączność dołu z górą zapomocą łączności technicznej, lecz spójnia moralna i dyscyplina zginęły bezpowrotnie. Oddziały linjowe, dywizje i korpusy rządzone przez Komitety, złożone z ludzi nieinteligentnych, krzykaczy, a często przestępców kryminalnych, wymuszały lub wydawały zarządzenia tylko takie, które były chętnie witane przez rozagitowane masy żołnierskie. To też w armjach chaos i zamieszanie zapanowały powszechnie. W armji 4-ej na froncie rumuńskim w tym okresie czasu władzę objął Komitet bolszewicki, który na dowódcę armji wybrał Konduruszkina, chorążego, awansowanego za odwagę z podoficera, człowieka nieokrzesanego i bez przygotowania politycznego i wojskowego.

Polacy, żołnierze tej armji, zorganizowani już od maja tego roku w Związkach Wojskowych Polaków, w oczekiwaniu na możność formowania na tym froncie wojskowych oddziałów polskich, zrozumieli, że na żadną wyższą pomoc liczyć nie mogą. To też przewrót bolszewicki był dla nich bodźcem do szybszego urzeczywistnienia dążeń niepodległościowych. W lokalu Komitetu Związku Wojskowych Polaków w Romanie zawrzała praca, nie licząca się z żadnemi przeszkodami i represjami. Wszelkie próby sztabu bolszewickiego zlikwidowania działalności Komitetu były paraliżowane niezłomnem stanowiskiem Komitetu, posiadającego do dyspozycji niewielkie narazie, ale pełne zapału i oddania sprawie zdyscyplinowane oddziały wojskowe, koszarujące w mieście i w wiosce tuż pod miastem. Dzięki niestrudzonej pracy i rozumnym zarządzeniom prezesa Zw. W. P. IV arm. por. B. Sikorskiego, napływ oficerów frontowych był tak wielki, że w pewnym momencie m. Roman, siedziba sztabu armji, zaroiła się od barw polskich, noszonych zazwyczaj w trzeciej pentelce od góry przy płaszczach i mundurach. Aczkolwiek donaszano rosyjski uniform bez dystynkcji, to jednak widok swojskich „gęb" i polska mowa napawały radością serce Polaka. Coprawda tu i ówdzie patrzący na nas z podełba bolszewik zaklął siarczyście, lecz niezbyt głośno, nie wiedząc, jak sobie tłumaczyć to skupienie żołnierza polskiego w rosyjskim mundurze.

A w „sztabie" robota wre dniem i nocą. Por. Sikorski jest wszędzie, skwapliwie grupuje wszystkich, poucza, informuje, czasem „ruga", śmiałym krokiem wkracza do wszelkich Komitetów bolszewickich, postawą i tonem stanowczym zdobywa dla swoich ludzi wszystko, czego żołnierzowi potrzeba. Niema zwątpienia wśród tych, którzy zgłosili swoją gotowość walki w szeregach, którym przewodzą ludzie mężni, odważni i rozumni.

W pierwszych dniach stycznia 1918 roku z Romanu wyrusza pierwszy silny oddział, złożony z wielu rodzai broni, za nim drugi. Ci, którzy widzieli wymarsz tych orłów rozpościerających skrzydła do dalekiego, a tak niebezpiecznego lotu, naprawdę płakali z radości, boć to powstało na obcej ziemi, wyrwane z paszczy szalejącej anarchji, z nieopisanego chaosu.

„Sztab" Zw. W. Pol. IV-ej armji postanowił wyruszyć (o ile się nie mylę) z drugim oddziałem, zdaje się, w pierwszej połowie lutego; pozostała w Romanie zaledwie nieliczna garstka „ciurów" przysztabowych i zabłąkane jednostki z oddziałów linjowych. Zabrakło por. Sikorskiego, zastąpił go ktoś nie posiadający wpływów. Łączność z Sorokami, gdzie się grupowały oddziały II korpusu, łącznie z karpacką brygadą, utrzymywano stale.

18-go czy 20-go lutego gruchnęła wieść, że II korpus wyrusza pospiesznym marszem na wschód, a wślad za tem przyszedł rozkaz wymarszu (bez taborów) wszystkich wojskowych Polaków, drogą na Jassy—Ungeny—Soroki. Nie było czasu na rozważania, każdy Polak, który nie chciał zostać jeńcem Rumunów czy bolszewików, spakował osobisty bagaż i stawił się na punkcie zbornym na dworcu kolejowym. Tu dowiedzieliśmy się, iż dowódcą naszego oddziału został mianowany podkap. artylerji Szmidt (imienia nie pamiętam) niby—Polak, urodzony i wychowany w Charkowie**). Zarządzona zbiórka dała skład osobowy (mniej więcej) 20 oficerów, reprezentujących rodzaje broni: artylerję, piechotę, saperów, automobilistów, w. łączności, taborowych, biurowych, jednego lekarza i 2-ch aptekarzy. Szeregowi składali się z dwuch grup: kilkunastu z armji rosyjskiej i trzydziestu kilku byłych jeńców niemieckich, którzy przeżyli gehennę niewoli rumuńskiej i jakimś cudem uniknęli głodowej śmierci. Ludzie ci bynajmniej nie dodawali ducha wojowniczego pozostałym chociażby i z tego względu, że byli to 45 — 50-letni landszturmiści, świadomi tego, iż olbrzymia część Rosji jest zajęta przez wojska niemieckie, z któremi być może wypadnie im się zetknąć.

Po załatwieniu całego szeregu potrzebnych i niepotrzebnych formalności, władze rumuńskie zezwoli-

*) Wspomnienia uczestnika tulaczki i walk oddziału.

**) Potem okazało się, że był rosjaninem typu urzędniczego z zaboru rosyjskiego.

ły na przejazd do Jass w pociągu naładowanym węglem. Oficerom pozostawiono broń palną i białą. Gdyśmy się usadowili na kupach węgla, stwierdziłem, iż między nami jest aż cztery niewiasty — trzy siostry miłosierdzia i żona jednego z oficerów — Rumunka. Bagaż nastręczał smutne perspektywy, była tego taka mnogość, że oddział czynił widok raczej emigrantów wzgl. uciekinierów, ale nie jednostki bojowej.

Po pięcio- czy sześcio-dniowej podróży dotarliśmy do Jass (90 km), gdzie „towarzystwo" poinformowano, iż II Korpus wyruszył na wschód w niewiadomym kierunku. Rada — decyzja: ruszać dalej do Kiszyniowa. Bagaż i ludzi rozlokowano na dworcu z komendantem Szmidtem, a piszący te słowa z grupą oficerów udali się do miasta zasięgnąć „języka". Droga wiodła oczywiście do Domu Polskiego, reprezentowanego przez czcigodnego prezesa ś. p. mec. Pomorskiego. Powitanie—„wcina", narada. „Ilu was jest?", a no, „aż" sześćdziesięciu kilku przy dwudziestu karabinach kawaleryjskiego typu. Mało — nie porywajcie się z motyką na słońce, za Dniestr już władze Rumunów nie sięgają, nie dacie sobie rady i zginiecie czort wie poco i naco".

Ale w wysłannikach krew gra, „buta wojenna" nie daje ‚pardonu", słyszeć nie chcemy o tak rychłej kapitulacji. Stanęło na tem, że po przespanej nocy łatwiej będzie „coś" obmyśleć.

Dnia następnego dowiedzieliśmy się, że Rumuni naszych ludzi, bagaż a nawet komendanta ciupasem, na piechotkę odstawili za Dniestr (35 km. do Dukasar. Niema gadania, przecież przepadną nasze bagaże, a i „oddział" straci tylu ludzi. Energiczny mec. Ławcewicz, przebywający w jakiejś misji w Kiszyniowie, oczywiście nastawiany przez mec. Pomorskiego, zdobywa osiem koni i cztery wozy, darowuje nam ten cenny tabor i wyprawia do Dubosar.

O radości! w Dubosarach są nasi żywi i zdrowi, całujemy się!

Okazało się, że w Dubosarach pułkownik wojsk ros. Drozdowskij formuje oficerski ochotniczy oddział, ma 900 ludzi, dziewięć armat, szwadron kawalerji i t. d.

Nas, Polaków, przyjął z otwartemi ramionami i odrazu bez zastrzeżeń ofiarował 4 konie, niepotrzebne mu (i nikomu) radjostację i wikt, którego notabene sam nie posiadał.

Skleciliśmy własny „sztab" (Boże odpuść), złożony z dowódcy podkap. Szmidta (lat 24), mnie (Boże dopomóż!) — aptekarza, ppor. Sędraskiego (lat 25), bardzo sympatycznego chłopca, lekarza, wielkiego wygodnickiego i notorycznego śpiocha, oraz tego porucznika piechoty, który wlókł za sobą żonę Rumunkę.

Pierwszą czynnością „sztabu" było rozpatrzenie „rokoszu", wywołanego przez landszturmowców, byłych jeńców niemieckich, o których wspomniałem wyżej. Ofermy te zlękły się stepów ukraińskich, a jeszcze bardziej wojska niemieckiego, okupującego Ukrainę. Nie było rady; gdy perswazje nie pomogły, daliśmy „zdrajcom" po dwa funty cukru, po trzy puszki konserw i puściliśmy z wiatrem.

Z Dubosar wymaszerowaliśmy za ogonem „Drozdowców", którzy zarekwirowawszy wszystkie furmanki w okolicy Arnyczy, pociągnęli na wschód.

My, Polacy, uszykowaliśmy się w czwórki, ruszyliśmy pieszo, nie chcąc „narażać się" chłopstwu. Pierwsze kilometry przebyliśmy śpiewając pierwszy raz w życiu polskie pieśni w polskich szeregach. Byliśmy szczęśliwi, a tak radośni, że się moskale dziwili, kracząc wszelkie wróżby.

Na jednym z postojów, Drozdowskij poradził nam nie krępować się chłopami, wsiedliśmy więc na rekwirowane furmanki. Maszerując w kierunku na Cherson przez górzystą Chersońszczyznę i po topniejącej marcowej drodze, Rosjanie zgubili cztery pancerki. Pozostała tylko jedna, a tu coraz częściej natrafiano na „niebłagonadiożne" wsie. Naszym chłopcom sprzykrzyła się jazda na „gapę", a że „sztab" widział w takiej jeździe rozluźnienie dyscypliny, uradzono przeto przeistoczyć się z piechurów na... kawalerzystów.

Drozdowskij przyjął nasz projekt b. przychylnie, przypomniał sobie, że polska kawalerja kiedyś w świecie militarnym zajmowała pierwsze miejsce i poradził nam zdobywać konie na postojach noclegowych „bez krempacji".

Nauka w las nie poszła i chłopcy wprost powarjowali na punkcie zdobywania koni. Który nie miał jeszcze konia, „ćwiczył" oklep na drabinie wozu, na którym jechał. Nie dawała nam spokoju ta smutna okoliczność, że w oddziale nie było ani jednego kawalerzysty, chociaż każdy „w gębie" mógł dorównać Wołodyjowskiemu lub Kmicicowi.

Po drodze przyłączały się do nas jednostki, przeważnie oficerowie, z różnych oddziałów rezerwowych, co nas napawało wielką radością i nadzieją. Tylko marcowe wiatry stepowe wielce utrudniały pochód.

W okolicach Melitopola posadziliśmy na konia „aż" sześciu, czy ośmiu ludzi. Z tego powodu zapanowała wielka radość i uczta ze „zdobycznego" wieprzaka. Nie wszystkie noclegi po wsiach były połączone z niebezpieczeństwami. Często zdarzało się, że duże wsie, przeważnie kolonje niemieckie, kacapskie a nawet tubylczo-ukraińskie, przyjmowały nas chlebem-solą (oczywiście, gdzie poprzednio gościli „towarzysze"). Pamiętam przyjęcie w Kachowce przed Melitopolem, gdzie koloniści niemieccy przed domami poustawiali stoły z jadłem, a dwie orkiestry grały od ucha do obrzydliwości. (c. d. n.).

Komunikaty

POSIEDZENIE ZARZĄDU GŁÓWNEGO.

W bieżącym miesiącu odbędzie się drugie posiedzenie pełnego Zarządu Głównego Związku, poświęcone sprawom organizacyjnym i programowi działalności Związku w r. 1934/1935.

Ze względu na konieczność szybkiego załatwienia wszelkich niedomagań, wynikających z odległości, specjalnych warunków terenowych i nieustalonego dotąd stosunku poszczególnych członków Oddziałów do Oddziałów i Centrali, wynika konieczność uczestnictwa w posiedzeniu wszystkich Prezesów Oddziałów Związku. W wypadku wyjątkowym, o ileby p. p. Prezesi nie mogli przybyć, muszą ich zastąpić koledzy wiceprezesi, względnie upoważnieni pisemnie delegaci.

Podkreślając jeszcze raz bardzo poważne znaczenie posiedzenia dla całokształtu spraw związkowych, prosimy o **obowiązkowe** przybycie wszystkich Kolegów, członków Zarządu Głównego.

Wszystkie sprawy, któreby Oddziały chciały zgłosić na posiedzeniu, powinny być opracowane w formie pisemnych referatów i projektowanych uchwał, i przesłane na 5 dni przed terminem posiedzenia. Nienadesłane w powyższym terminie mogą być złożone w dniu posiedzenia, jako wolne wnioski, również na piśmie.

O terminie posiedzenia p.p. członkowie Zarządu Głównego otrzymają oddzielne zawiadomienia z załączeniem porządku dziennego.

KOMUNIKAT KOMISJI ODZNAK.

Wobec licznie napływających podań o nadanie Odznaki IV. D. S. gen. L. Żeligowskiego oraz Odznaki „Krzyż Kaniowski", Komisje postanowiły przedłużyć swe czynności pomimo dużej straty czasu, jakiego wymaga rozpatrywanie zgłoszeń i ściąganie od petentów dowodów służby.

Dotychczasowe zgłoszenia napływały bez niezbędnych załączników, jako to: dokumenty, stwierdzenia służby i t. p. Dla uniknięcia więc możliwej i przewlekłej korespondencji Komisje ogłaszają ponownie poniższą odezwę, zamieszczoną w N-rze 6 Głosu Kan. i Żel. z roku bieżącego:

W celu przyśpieszenia prac Komitetu i Komisji uprasza się Kolegów, składających podania, o załączanie szczegółowego życiorysu z uwzględnieniem:

a) służby przed wstąpieniem do II Korpusu W. P. lub 4 Dyw. Strzelców, w wojskach obcych, związkach wojsk. polaków oraz formacjach polskich z podaniem nazw oddziałów, w których służyli i daty służby.

b) daty wstąpienia do II Korpusu W. P. i 4 Dyw. Strzelców oraz daty opuszczenia tych formacji i powody wystąpienia.

c) dalszego przebiegu pracy po opuszczeniu tych formacyj.

O ile Koledzy, ubiegający się o odznaki, nie posiadają dokumentów, stwierdzających dane służby, to powinni możliwie szczegółowo opisać przebieg swej służby i podać nazwiska dowódców i oficerów swego oddziału, względnie uwierzytelnione stwierdzenie tych oficerów.

Jest to niezbędne dla uproszczenia i uniknięcia kosztownej korespondencji. Na żądanie Sekretarjat wysyła odpowiednie formularze.

Podania należy przesyłać pod adresem: Komisja Odznaki Krzyża Kaniowskiego lub Komitet Odznaki 4 Dyw. Strzel. gen. Żeligowskiego, Warszawa, ul. Złota Nr. 14 m. 14, (telefon 2-96-61).

Sekretarjat czynny we wtorki i czwartki, każdego tygodnia, od godz. 18 do 20-ej.

Kolegów, ubiegających się o nadanie Odznaki IV D. S. gen. L. Żeligowskiego, powiadamiamy, iż legitymacji na prawo noszenia tej Odznaki chwilowo nie wysyłamy z powodu wyczerpania się blankietów, podpisanych przez Pana Generała L. Żeligowskiego. Wysyłanie wznowimy niezwłocznie po otrzymaniu od Pana Generała podpisanych blankietów.

LEGITYMACJE K. I M. NIEPODLEGŁOŚCI

Wobec licznych zapytań, napływających do Zarządu Gł. w sprawie sposobu otrzymania legitymacji na Krzyż i Medal Niepodległości, uprawniających do 50% zniżki na kolejach, informujemy: Legitymacje powyższe wydaje Komitet Główny Krzyża i Medalu Niepodległości (Warszawa, Al. Ujazdowskie 1). Po wpłaceniu na konto czekowe Komitetu w P. K. O. Nr. 24560 zł. 2.— z zaznaczeniem na blankiecie nadawczym, na jaki cel dokonana została wpłata, wpłacający otrzyma pocztą formularz, który winien szczegółowo wypełnić i zwrócić do Komitetu K. i M. N. z załączeniem 2 fotografij formatu paszportowego, poczem otrzyma również pocztą legitymację. Osobiste załatwianie sprawy w Komitecie K. i M. N. jest niedopuszczalne.

ODDŁUŻENIE ROLNICTWA.

W związku z zamierzoną przez Rząd akcją oddłużenia drobnego i średniego rolnictwa, Zarząd Główny prosi p. p. osadników wojskowych, członków naszego Związku o podanie w jaknajkrótszym czasie do Zarządu Gł.: 1) swego imienia i nazwiska, 2) nazwy osady, gminy, powiatu, 3) ilość posiadanej

ziemi, 4) kto gospodaruje na osadzie, 5) stan ilościowy inwentarza żywego i martwego, 6) rodzaj i wysokość zadłużenia, 7) kto jest wierzycielem, 8) terminy i wysokość spłat długu.

ZE ZW. UCZESTNIKÓW B. I KORPUSU W. P. NA WSCHODZIE.

Dnia 2 września r. b. odbyło się Walne Zgromadzenie Okręgu Warszawskiego Związku Uczestników b. I Korpusu Wojsk Polskich na Wschodzie z udziałem delegata Federacji P. Z. O. O. inż. Sołtyckiego i Wice Prezesa Związku pułkownika W. Podgurskiego. Zagaił zebranie kol. W. Kazikowski, przewodniczył kol. M. Choiński, sekretarz kol. T. zikowski. Po odczytaniu protokułu Komisji Rewizikowski i po odczytaniu protokułu Komisji Rewizyjnej wyrażono votum ufności ustępującemu Zarządowi. Następnie pułkownik W. Podgurski wygłosił referat o akcji scaleniowej wszystkich Organizacji b. Wojskowych Wschodu i o konieczności połączenia w jedną Organizację. Wyjaśnił, iż sprawa ta dobiega końca i że został już zatweirdzony na wspólnej konferncji ogólny statut tej Organizacji. Po uchwaleniu zmiany nazwy Okręgu Warszawskiego na Okręg Stołeczny, przystąpiono do wyboru nowych władz Okręgu, w wyniku których zostali wybrani: Prezes— St. Bolesławski, vice-prezesi: Miniszewski i Piotrowski, sekretarz Gąsiewicz, skarbnik Rudnicki, członkowie: M. Wańkowicz, Ossowski i Zaczewski — jednogłośnie. Następnie wybrano Komisję Rewizyjną, Sąd Honorowy, Sąd Rozjemczy — również jednogłośnie.

Wysłano depeszę hołdowniczą do generała br. L. Żeligowskiego, Prezesa Zarządu Głównego.

OBOZY PRACY

Wśród ludzi, słabo orjentujących się w organizacji obozów pracy t. zw. „Junaków", poczęły się rozpowszechniać alarmujące pogłoski na temat przyszłości tych „Junaków". Chodzi o to, by obozy nie wypuszczały niewykwalifikowanych robotników.

Tymczasem pogłoski te są całkowiice nieuzasadnione, bowiem Stow. Opieki nad Niezatrudnioną Młodzieżą (tak zwany S. O. M.), organizujące obozy pracy, w swoim planie działalności przewiduje również fachowe szkolenie „junaków", dla którego najdogodniejszym okresem są miesiące zimowe.

Obecnie kierownictwo S. O. M.'u finalizuje już pertraktacje z dyrekcjami zawodowych szkół rzemieślniczych i rolniczych, w których „junacy" w okresie zimowym przejdą fachowe wyszkolenie.

W szkołach rzemieślniczych „junacy", kształcąc się fachowo, równocześnie będą wytwarzali narzędzia do pracy w okresie letnim, a więc łopaty, kilofy, łomy, taczki i t. p., dzięki temu nie stwarzając konkurencji na rynku swojemi wyrobami.

Do szkół rolniczych będą przydzieleni „junacy", bardziej związani ze wsią, do której będą mogli kiedyś powrócić, jako element wykwalifikowany.

Młodzież żeńska z obozów pracy będzie w okresie zimowym przydzielona częściowo do warsztatów mundurowych, częściowo zaś do szkół warzywniczo-hodowlanych.

W warsztatach, odstąpionych S. O. M.'owi przez wojskowość, będą dziewczęta szkoliły się zawodowo, szyjąc mundury i bieliznę, również przeznaczoną dla obozów pracy.

Przeszkolenie rolnicze odbywać się będzie w kilku, już wydzierżawionych majątkach państwowych, gdzie dziewczęta będą również wytwarzały produkty spożywcze dla obozów.

Ponieważ do obozów pracy przyjmowana jest młodzież w wieku lat 17, przeto już do wieku poborowego przejdzie ona parokrotny kurs wyszkolenia zawodowego, które młody surowy materjał przekształci na pracowników wykwalifikowanych, wyposażonych w doświadczenie pracy praktycznej, a równocześnie wychowanych na świadomych i dobrych obywateli państwa.

BOLESŁAW JACYNA

Dzieje Artylerji 4 Dyw. Gen. Żeligowskiego

(Dokończenie)

Wreszcie w najbardziej krytycznym dla plutonu momencie, kiedy bolszewicy szykowali się do ponownego natarcia, przyprowadza kpt. Alikow kompanję Legji Rycerskiej, a w kilka minut później nadbiega por. Szczekowski z plutonem Strzelców Senegalskich.

Sytuacja uległa gwałtownemu polepszeniu: wzięci pod krzyżowy ogień karabinów maszynowych bolszewicy zostają wyrzuceni z więzienia, droga zostaje otwarta i pluton odmaszerowuje na W. Fontan.

Rannego płk. Bartę chciano zabrać ze sobą, co było o tyle łatwe, że zatrzymano przejeżdżającą w tym czasie sanitarkę francuską, którą możnaby rannego stosunkowo łatwo wywieźć. Jednakże płk. Barta nie chciał jechać, prosząc, by go pozostawiono w Odesie, ponieważ rana jego nie zniesie podróży. Z żalem zaniesiono rannego dowódcę dyonu na płaszczach do domu pobliskiego popa cmentarnego i po pożegnaniu pozostawiono go w Odesie.

W kilka dni później otrzymano żałobną wieść o śmierci płk. Barty.

Godne pochwały zachowanie się żołnierzy w obliczu ukrytego wroga w czasie 4-godzinnej walki znalazło swój wyraz w rozkazie dziennym dyonu L. 33/1919 r., w którym kpt. Alikow w imieniu służby dziękuje „Kpt. Bilczyńskiemu, por. Tomaszewskiemu, por. Protasiewiczowi, ppor. Czechowskiemu i wszystkim żołnierzom za świetne zrozumienie swych obowiązków i okazaną karność, odwagę i męstwo".

W walce pod Czumną Górką, prócz rannego płk. Barty, dyon stracił w zabitych — zwiadowcę Dębowskiego, konia wierzchowego i konia zaprzęgowego pierwszego działa oraz cały jaszcz II-go działa z końmi i zaprzęgiem.

Dowództwo dyonu po płk. Barcie objął kpt. Alikow.

Przez W. Fontan dyon pomaszerował na Majaki n/Dniestrem (w pobliżu Bielajewki), w których przebywał przez kilka dni. Wysłane w dn. 4.IV. magazyny dotarły szczęśliwie do Bielajewki. Wobec nieukończonego jeszcze mostu, przeprawiono treny na użyczonych przez rumunów pontonach — na drugi brzeg Dniestru, a stamtąd zostały one przewiezione w całości do Starego Kozaczego.

Nadmienić należy, że w międzyczasie oficer prowiantowy ppor. Marcinkowski, wymienił w drodze rekwizycji, wszystkie gorsze konie trenów na lepsze.

Dzięki tej wymianie, tren uzyskał pierwszorzędny materjał koński na dalsze pochody i boje.

Oddział łączności pod dowództwem por. Tomaszewskiego skierowany został wprost z W. Fontana na Akkerman z zadaniem werbowania do dyonu ochotników z Armji Ochotniczej oraz ewent. zakupu od nich dział i koni.

W Bielajewce kompanja saperów 4-tej dywizji wybudowała most przez Dniestr. W braku czasu i odpowiedniego materjału zbudowano b. wąski i słaby most, przez który rozpoczęła przeprawę armja koalicyjna, t. j. 2 dywizje francuskie, grecka i rumuńska. 4 Dyw. Strzelców i tym razem miała być w straży tylnej, czyli miała się przeprawić ostatnia.

Wreszcie w nocy z 8 na 9 kwietnia przyszła kolej na przeprawę dywizji. Przez cały dzień 8. IV. padał deszcz; pod wieczór zaczął wiać z morza mocny wiatr i poziom wody w rzece począł gwałtownie przybierać. Ok. godz. 12 w nocy woda zalewała już nawierzchnię mostu. Dyon miał się przeprawiać ostatni, ponieważ dca dyonu oczekiwał na oddział łączności z Owidjopola. Wreszcie ok. godz. 4 nad ranem, kiedy piechota już się przeprawiła a z oddziału łączności nie było żadnych meldunków i dłużej zwlekać nie można było ze względu na coraz większe osłabienie mostu, — dał dca dyonu rozkaz do przeprawy. Porządek przeprawy był następujący: baterja oficerska bat. L., oddział Sztab., Oddział Niefrontowy i II-ga półbaterja.

Przeprawa była trudna: słaby i b. wąski most, ciemno i deszcz. W tych warunkach należało b. ostrożnie posuwać się po moście na dużych odstępach, by nie dopuścić do załamania się mostu. W pewnym momencie przy przeprawie III działa bat. ofic. most załamał się na przestrzeni 8 m. na środku rzeki. Natychmiast rzucili się oficerowie baterji do naprawy mostu, przyczem jeden z nich wpadł do rzeki (ppor. Kawecki) i z trudem go uratowano.

O godz. 4 nad ranem most był naprawiony i kontynuowano w dalszym ciągu przeprawę. Po przejściu półbaterji II, ogniem artyleryjskim tejże baterji most został zniszczony.

Droga od miejsca przeprawy do najbliższego miejsca postoju w Starem Kozaczem przechodziła na przestrzeni 10 km. doliną Dniestru. W momencie przeprawy dyonu cała dolina była zalana wodą i kierunek drogi wyznaczały tylko słupy telegraficzne. Jeżeli się zważy, że droga do Starego Kozaczego była zwykłą drogą wiejską i przez 4 maszerujące poprzednio dywizje została zupełnie rozjeżdżoną, podziw ogarnia, że dyon przeszedł w porządku te 10 km. i nie tylko, że nic nie stracił ze swego sprzętu, ale pozbierał dużo karabinów maszynowych i innego materjału wojskowego, porzuconego przez francuzów i greków.

Tymczasem oddział łączności pod dowództwem por. Tomaszewskiego w składzie 2-ch plutonów i 42 koni wyruszył do Akkermanu celem zakupu artylerji od rozformowujących się oddziałów Armji Ochotniczej.

W Owidjopolu spotkano dużo oddziałów Armji Ochotniczej i armji greckiej. Początkowo dobrowolcy chcieli sprzedać cały moździerzowy dyon, jednak przybycie delegata rumuńskiego, który obiecał przepuścić dobrowolców z bronią na teren Rumunji przez m. Karolina-Bugas (o 15 km. na południe, w delcie Dniestru), przeszkodziło kupnu. Cała Armja Ochotnicza pomaszerowała na Karolina-Bugas. Za dobrowolcami ruszył w ślad nasz oddział łączności.

Na wyspie Karolina-Bugas rumuni zażądali od „dobrowolców" wydania wszystkiej broni, obiecując tylko w tym wypadku przepuszczenie ochotników do obozów koncentracyjnych w Rumunji.

W ciągu 4 dni szły targi pomiędzy rumunami a dobrowolcami, w czasie których por. Tomaszewski za 7.000 rb. zakupił 120 koni z rzędami wierzchowemi, 2 samochody, dużo wozów, powozów, karabinów maszynowych i innej broni, oraz zwerbował do naszego wojska ok. 60 oficerów i szeregowych.

Dnia 12.IV. wobec zupełnego braku żywności i paszy oraz strasznego wyczerpania ludzi i koni, przeszedł po moście kolejowym na drugi brzeg Dniestru i przez Szabo i Akkerman (nocleg) dotarł do Mołdawki, w której dołączył się do dyonu.

5. Postój w Besarabji — Przegląd dyonu przez dcę dywizji — Powrót do kraju.

W ten sposób w dn. 9.IV. 1919 r. dyon przeszedł do zaprzyjaźnionej Rumunji i pozostawał w niej do 15.VI. 1919 r., t. j. do czasu powrotu do kraju.

Aby uniknąć jakichkolwiek nieporozumień z władzami rumuńskiemi, tudzież aby nie dopuścić do gwałtów nad ludnością, wydał dca dyonu w dn. 12. III. 1919 r. rozkaz dzienny L. 37, w którym nakazuje żołnierzom dyonu szanować i przestrzegać miejscowe prawa.

Do dnia 20.IV. pozostawał dyon we wsi Mołdawce, przeorganizowując się i porządkując.

W dn. 14.IV. zostaje rozformowana baterja oficerska. Działa, konie i uprząż zostały przydzielone do półbateryj II-ej i III-ej z jednoczesnem przemianowaniem półbaterji I. II. i III na baterje. Oficerowie bez przydziału utworzyli Pluton Oficerski, bez dział, pod dowództwem kpt. Stępniewskiego.

W tym samym czasie zostaje rozformowany Oddział Łączności. Każda baterja otrzymuje jeden pluton zwiadowców, przy dyonie zostaje tylko mały oddział telefonistów. Dca oddziału por. Tomaszewski zostaje mianowany dcą I plut.; dcą bat. 3 zostaje mianowany por. Niewodniczański.

W dniu 15.IV. odbył się w Mołdawce przegląd dyonu przez gen. Żeligowskiego, któremu towarzyszył płk. francuski Loire. Po przeglądzie dca dywizji wygłosił do zebranych oficerów i żołnierzy przemówienie, zachęcając ich do dalszej ofiarnej służby dla Ojczyzny.

W dniu 21.IV. dyon przechodzi z Mołdawki do Fisztelicy, pozostając w niej do 30 kwietnia tegoż roku.

W dniu 1 maja przechodzi dyon z Fisztelicy do Nowych Kauszan, z wyjątkiem baterji 2-ej, która odeszła na front do wsi Leontjewo nad Dniestrem, gdzie współdziałała z oddziałem francuskim i z własnym 15 p. p. Na froncie pozostaje baterja do końca maja, przechodząc około 23.V. do Nowych Kauszan, celem połączenia się z dyonem.

W dniu 1 maja dyon liczył 138 oficerów, 348 szeregowych i 359 koni.

Dzień 3 maja obchodzono uroczystem nabożeństwem w Now. Kauszanach, po którem odbyła się defilada dyonu w pieszym szyku przed d-cą dyonu. Niezależnie od tego jeden pluton baterji 1-szej brał udział w defiladzie w siedzibie d-twa dywizji. Dla szeregowych wygłoszono odpowiednie pogadanki.

Tymczasem coraz bardziej mówią o marszu do kraju. W związku z powyższem czynione były gorączkowe przygotowania do drogi; uzupełnienie materjału, żywności i paszy. Wreszcie w dniu 24.V. przychodzi rozkaz wyjazdu dyonu, przyczem dyon ma być przewożony koleją 2 transportami wojskowemi. Nie podano wprawdzie celu podróży, jednakże zapowiedziano dłuższą podróż, co pozwalało mieć nadzieję, że jedziemy nareszcie do Polski.

W dniu 25.V. 1919 r. na polach pod Nowo-Kauszanami odbył się przegląd jednego pułku oraz całego dyonu przez dcę wojsk koalicyjnych na wschodzie gen. Franchet d'Esperay'a.

Po przeglądzie generał wygłosił dłuższą mowę i oświadczył, że z żalem żegna się z 4 Dyw. Strzelców, którą uważa za najlepszy oddział swej armji, jednak rozumie naszą tęsknotę za krajem i nie chce dywizji przetrzymywać; poczem życzył oficerom i szeregowym dywizji szczęśliwej drogi. Po przemówieniu odbyła się defilada.

W dniu 26.V. odszedł pierwszy transport dyonu (sztab dyonu, pluton szkoły oficerskiej i 1 baterja), a dnia 27.V. drugim transportem reszta dyonu (bat. 2 i 3, oddział niefrontowy, magazyny).

Komendantami transportów byli: pierwszego — kpt. Iwaszkiewicz, drugiego — por. Romiszewski.

Po drodze obydwa transporty kolejowe dyonu były ostrzeliwane w okolicach Bender przez bolszewików, strzelających z rejonu Tyraspola. Jednakże szczęśliwym trafem pociski nie trafiały w pociągi i nie wyrządziły żadnej szkody ludziom i koniom. Obydwa transporty zostały zadyrygowane do st. Nowosielica, skąd marszem przeszły do Rarańczy, w której dyon pozostawał do dnia 13.VI. 1919 r.

Wreszcie w dniu 12.VI. 1919 r. nadszedł rozkaz o wymarszu 4 Dyw. Strzelców z Rumunji i powrotu do kraju. Piechota została załadowaną na pociągi i odeszła transportami kolejowemi pod Stanisławów, kawalerja i artylerja miała przebyć drogę marszem pożnym. W dniu 13.VI. o g. 7-ej wyruszył dyon pod osłoną szwadronu 1 p. uł. w składzie trzech baterji, oddziału sztabowego i oddziału niefrontowego z Rarańczy przez Sado-Górę, Neumaneszty i o godz. 15 stanął na nocleg we wsi Rewakońce. Szkoła oficerska i magazyny zostały załadowane do pociągu i w dniu 15.VI. przewiezione do Chryplina (pod Stanisławowem).

W dniu 14.VI. o godz. 5 rano dyon kontynuował dalszy marsz z miejsca postoju i przez Śniatyn i Wańkowce dotarł pod wieczór na postój do miejscowości Chlebiczyn. W Wańkowcach popasano przez 3 godziny, aby dać możność zjedzenia obiadu i nakarmienia koni. W dniu 15.VI. dyon przeszedł na nocleg do wsi Rakowczyk, odpoczywając w ciągu 2 godzin w Kołomyi. Wreszcie w dniu 16.VI. wykonano ubezpieczony marsz z m. postoju do Tyśmienicy. W ten sposób dyon powrócił do Polski i wszedł w skład wojska polskiego.

Ostatni przemarsz uskuteczniono marszem ubez-

pieczonym, a to ze względu na możliwość napadu ze strony grasujących w lasach band ukraińskich.

Trudno opisać entuzjazm ludności polskiej przy wkroczeniu dyonu do Małopolski; w Śniatyniu i w Kołomyi ludność, która po raz pierwszy ujrzała oddziały wojska polskiego, obsypała baterje kwiatami, przyczem w Kołomyi na prośby ludności dyon zatrzymał się na 2 godziny i był goszczony przez ludność polską całego miasta. Ale też wzruszenie żołnierzy dyonu było niemniejsze, gdy w dniu 14.VI. 1919 r. wkroczyli po długiej tułaczce na ziemię polską! Wielu oficerów i szeregowych, pochodzących z dalekich kresów, z Syberji i Kaukazu, po raz pierwszy wogóle znajdowało się na polskiej ziemi. To też ze wzruszeniem schodzili oni z koni i całowali ziemię.

6) W kraju — Walki w Mołopolsce Wschodniej — Reorganizacja Dyonu.

Szybki przemarsz dyonu do Tyśmienicy i wogóle nagłe przerzucenie całej 4 Dyw. Strzelców do kraju spowodowane zostało ofenzywą ukraińską na Stanisławów i Lwów w połowie czerwca 1919 r. oraz brakiem w kraju dostatecznej ilości wojska polskiego do obrony Małopolski Wschodniej.

To też za własną piechotą, która wprost z wagonów poszła do walki, ruszyła i artylerja dyonu. Już o godz. 13-ej dn. 17.VI. 1919 r. wyruszyła bat. 3 do Jezupola, do którego przybyła dnia 18.VI. i, zająwszy stanowisko nad Dniestrem, zaraz rozpoczęła wstrzeliwanie się do wyznaczonych celów.

Dnia 19.VI. przybywa do Jezupola również i baterja 2, która również zajmuje stanowisko bojowe i wespół z bat. 3 ostrzeliwuje stanowiska ukraińców na przeciwległym brzegu Dniestru.

Po uskutecznieniu tych zmian przenosi się dtwo dyonu w dn. 24.VI. do Jezupola, skąd 26.VI. przechodzi do wsi Sielce, a 28.VI. do wsi Kryłos, z której kieruje posunięciami baterji dyonu.

W dniu 27.VI. baterja 1-sza również wyrusza na front i w dniu 22.VI. zajmuje stanowisko w Niżniowie, luzując baterję 1. 1 D. A. K. W ten sposób w końcu czerwca na froncie znajduje się już cały dyon, wspierając dzielnie własną piechotę w uporczywych jej walkach z ukraińcami nad Dniestrem, Strypą, Seretem i wreszcie Zbruczem.

Po zakończeniu walk z ukraińcami koncentruje się cały dyon w okolicach Borszczowa, do którego przybywa sztab dyonu 22.VII., a baterje kwaterują: 1-sza we wsi Słobódka, bat. 2 — we wsi Cygany, i bat. 3 — we wsi Wołkowce.

W tym czasie następują duże zmiany w organizacji dyonu, który przestaje istnieć.

30.VI. zostaje zlikwidowana Oficerska Szkoła. Oficerowie zostają wysłani do innych pułków artylerji; kilku z nich oraz cały inwentarz przydzielono do sztabu dyonu.

Następuje przemianowanie 4 D. Strz. na 10 Dywizję Piechoty. W związku z powyższem na mocy rozkazu dcy 4 Dyw. L. 207 z dn. 1.VII. 19 r. Dywizjon Artylerji przy 4 Dyw. Strzel. zostaje rozwiązany z dniem 1 lipca 1919 r. Skład osobisty a także inwentarz żywy i martwy Dyonu przechodzi jako kadra 10 p. art. polowej.

W dniu 1.VII. 1919 r. dyon liczył: 49 oficerów, 385 szeregowych, 325 koni i 12 dział.

Tak zakończył swój żywot Dyon Artylerji przy 4 Dyw. Strzelców, który powstał z niczego i w przeciągu 8 miesięcy, dzięki niezmordowanej pracy oficerów i szeregowych oraz wybitnej energji i zdolnościom organizacyjnym ś. p. płk. Barty, zamienił się w pierwszorzędną i kompletnie sformowaną jednostkę bojową artylerji, oraz posłużył jako kadra 10 p. art. pol. i zawiązek obecnego 19 p. art. polowej; pozatem przysporzył artylerji polskiej w chwilach jej powstawania 165 doświadczonych oficerów.

JAN SZCZEPKOWSKI

Z tułaczki żołnierskiej

Wspomnienie z Besarabji

(Ciąg dalszy)

Rankiem 21 kwietnia nastąpił wymarsz z Góra-Roszy. Na pustych nagich stepach spotkała nas sroga burza gradowa, połączona z gęstemi piorunami. Artylerja niebieska prowadziła jednak akcję tylko demonstracyjną, skierowanie bowiem strzałów do naszych obładowanych granatami i inną amunicją wozów wywołałoby wprawdzie ładny efekt, ale jednocześnie i szkodę, czego Pan Bóg oczywiście sobie i nam nie życzył, bo przecie trudno przypuszczać, aby sympatje niebieskie mogły sprzyjać takiemu plugastwu jak nasi wrogowie. Za to lodowych, dziwnie ostrych kulek i „pompatycznego" deszczu nie pożałowało nam niebo. Przemokliśmy gruntownie „na wylot!". O zmroku dobrnęliśmy do jakiejś wioski w malowniczym jarze. Nie pomogło usiłowanie wysuszenia odzieży w mołdawskiej izbie, gdzie się zrobiło

bardzo ciepło dzięki przeludnieniu, dobrym humorom i winu, nabytemu od miejscowych gospodarzy. Śpiewy i żarty trwały do późna w noc, ku czemu również przyjemną podnietą było spotkanie w tej wsi pierwszej grupki dążących do naszej dywizji ochotników z Bukowiny. A skoro dzień się zrobił, już ciągnęliśmy przez tłuste rozmokłe stepy i suszyli odzież na zimnym wichrze.

Dziwnie jednak zdrowotne własności ma to czyste stepowe powietrze. Mimo przejmującego zimna, przemoczenia butów i odzieży, nikt nawet o katarze nie myślał, cera się tylko od takiej aury piękniejszą czyniła, a muskuły jędrniały.

Kucharze zaczerpnęli zawiesistej wody z jakiejś przydrożnej kałuży, wsypali do niej z puszek angielsko-afrykańskie konserwy i dymiące kuchnie ciągnęły w kolumnie, nęcąc zgłodniałe żołądki. W południe stanęliśmy na niezgorszym wydmuchu i żłopali z ogromnym apetytem tłustą zupę, zagryzając, jak mówi kolega Murmańczyk, „dentystycznemi galetami". Okolica stawała się coraz bardziej falistą. Szlak, po którym dążyły nasze oddziały ku północy ciągnął się w odległości kilku wiorst od Dniestru, a nieraz zbliżał tak, że widać było dolinę rzeki i jej przeciwległy brzeg ukraiński.

Ściemniło się już dobrze, gdy dotarliśmy do wsi Popówka, położonej w odległości 4—5 klm. od Dniestru. Tu wyznaczono nam dłuższy postój i stąd wychodziły oddziały na czołowe pozycje odcinka frontu zajmowanego przez naszą dywizję.

Wieś b. duża położona była na stoku jednego jaru i na wzgórku ponad drugim niezmiernie pięknym jarem, pokrytym bujnemi owocowemi sadami. Mołdawjanie tutejsi nie mają tego zwyczaju, jak Polacy lub Rusini, zakładania sadów tuż przy chatach. Zwykle w pobliżu chat rosną drzewa dzikie lub owocowe w b. małej ilości, jakgdyby tylko wypadkowo zabłąkane. Sady fruktowe, obliczone na dochód, znajdują się zdala od chat poza wsią, zwykle na łagodnych stokach wąwozów. Sady te, należące do różnych właścicieli, podzielone dróżkami lub miedzami, stanowią rozkoszne gęste gaje, rozbrzmiewające cudnemi tonami słowiczych pieśni i co ważniejsze, dla mało poetycznego, ale za to chciwego grosza Mołdawjanina, dają mu one w połączeniu z winnicami bez wielkich trudów bardzo piękny dochodzik. Każdy właściciel ma w sadzie budkę, w której pilnuje owoców najczęściej tylko... pies, wielki, zły besarabski wilczur, mądry, wierny i znakomicie wtajemniczony w prawa własności swego mamałygodawcy. Stosunki nasze z miejscowymi włościanami nie były nadto serdeczne. Trwożliwsi bali się naszej siły i ulegali biernie, odważniejsi usiłowali czynić obstrukcję. Mołdawjanie, cieszący się opinją gościnności, ustaloną w piśmiennictwie krajoznawczem, niechętnie oddawali nam mieszkania, produkty chowali po kątach i stereotypowo odpowiadali na każdą propozycję kupna za pieniądze: „nyma" i t. p.

Kwatermistrze, lokujący nas po chatach, mieli dosyć trudne zadanie, oprócz bowiem niechętnych chłopów, których jednak nasza stanowcza postawa zmuszała do kapitulacji, we wsiach tutejszych siedział jeszcze inny, bardziej wrogi gospodarz, którego buńczuczną miną nie można było przestraszyć, a mianowicie — ludożerczy tyfus. Tyfus różnych gatunków, stosownie do indywidualnej skłonności upatrzonej ofiary i wyroku Bożego: powrotny, brzuszny lub ten najprzedniejszy: plamisty. W naszej Popówce, w Jermoklei, gdzie przebywał sztab dywizji i innych okolicznych wsiach wymierali dorośli i dzieci.

Chaty, w których kwaterował tyfus, oczywiście wolne były od naszej rekwizycji. Napisy węglem na białych ścianach domów przedstawiały dość oryginalną mieszaninę. Idąc wiejską ulicą, widziało się takie np. napisy: D-ca Komp. kpt. Z-owski, Typhus, Kancelarja d-wa pułku, Typhus, Typhus, porucz. B-icz, K. K. M., Typhus i t. d.

Mając podobnego kamrata w sąsiedztwie, trudno było nie wpaść w jego gorące i straszne objęcia. Coraz ubywał któryś z oddziału, a szpital w Piotrówce lub w Kauszanach zapełniał się tyfusowymi. Śmiertelność między naszymi była stosunkowo niewielka w porównaniu ze śmiertelnością na Kubaniu, gdyż zaledwie w stosunku około 30% chorych. Nie można tego powiedzieć o śmiertelności tutejszych mieszkańców. Z zapadłych na tyfus chorych 90% umierało.

Fakt powyższy stanowi doskonały dowód, jakie rezultaty daje zasada ludzi cywilizowanych, polegająca na podtrzymywaniu chorych środkami sztucznemi w walce ich organizmu z chorobą, a jaki rezultat bywa ze stosowania fatalistycznej zasady ludów wschodnich, t. j. powierzania roli lekarza wyłącznie naturze w myśl tradycyjnych sentencji: „ma być zdrów—to będzie zdrów", „co komu przeznaczono — to go nie minie" i t. p.

Do rozwoju tyfusu w pierwszym rzędzie przyczyniało się niechlujstwo mołdawjan. Zasadniczo są oni brudni, a brudna ich bielizna i kożuchy roją się od wszy. Kilkunastoletni syn naszego gospodarza, trudniąc się pasaniem baranów, urządzał czasami pogrom tych miłych insektów. Polowanie polegało na tem, że ponad szeroką ławą, na której jadano zwykle mamałygę, wytrząsał zdjętą ze siebie koszulę. Sypały się z niej żyjątka dorodne jak pęczak z worka i dążyły w różne strony, a on je wtedy z lubością masakrował. Niewiele czyściejszą była jego siostra, dziewczyna czternastoletnia już w pełni kształtów, zgrabna, lekka, o śniadej cerze i ognistych oczach. Zwykle nie myła się wcale, czasami jednak raczyła przemyć swe piękne oczy końcami paluszków, za to w każdą niedzielę czesała, wprawdzie tylko po wierzchu, ale z wdziękiem, skołtunione do głębi włosy.

W kilka dni po przybyciu do Popówki odbył się pogrzeb naszego żołnierzyka, jednego z owych kilku malców, którzy w dywizji służyli. Dwunastoletnie chłopię, Władzio Cukrzak, zamiast czulej rodzicielskiej opieki, cierpiał twardą żołnierksą dolę, cierpiał i płakał, bo był słabem dzieckiem, ale łzy krył, bo był żołnierzem — aż zginął tragicznie. Chowano go z wojskowemi honorami. Zamiast łez matki padły na jego trumnę grudki ziemi z bolesnem uczuciem przez towarzyszów broni rzucane.

Żal cię, mały chłopaczku, grześć w obcej ziemi, gdy swej już od lat dziecinnych pragnąłeś bronić!

W końcu kwietnia sztab naszej dywizji ze wsi Starokozaczej przeniósł się do Jermoklei pod Kauszanami, a wraz z nim ulokowały się tam również inne dywizyjne urzędy, jak: intendentura, szef sanitarny i t. p.

Wieś ta, przenosząca rozciągłością swych ulic nie jedno z naszych powiatowych miasteczek, rozrzucona na stokach i w głębi szerokiego jaru, poza swą rozległością, mało się różniła od innych tutejszych siół; takie same białe lepianki, przy nich wierzby bogato odziane lśniącem listowiem, lub akacje ustawicznie wachlujące się misternemi gałązkami. Niektóre motywy tej wsi przypominały nam wieś polską, zwłaszcza jasnozielona łąka z rzeczułką taką, jak nasze przemiłe rzeczki, co to nad niemi wonny tatarak rośnie i bociany brodzą. Bocianów wprawdzie tu nie było, a zamiast tataraku rosła młoda trzcina. Złudzenie jednak wywołane nostalgją dawało obraz rzeczywistości.

Żołnierz, stęskniony do polskiej wioski, rad ją w każdym podobnym zakątku upatrywał, wchłaniał wiosnę z błękitów, z traw i z tych majowych dobrych wieści, które z północno-zachodniej strony poprzez Karpaty Lesiste wprost do serca płynęły. Wilno nasze, Kongres Paryski ma złączyć zabory, armja Hallera z Francji i Włoch przeciw wschodnim barbarzyńcom podąża, a my z nią już na swej ziemi połączyć się mamy.

Bolszewizm węgierski upadł, wojska rumuńskie zajęły Siedmiogród, sztab naszej dywizji nawiązał łączność bezpośrednią z krajem przez Bukareszt. Co raz któryś szczęśliwiec jedzie do Warszawy i listy do rodzin z oddziałów zabiera. Dzięki staraniom dowództwa dywizji mamy otrzymać umundurowanie błękitne, po które jedzie delegacja nasza do Galaczu. Słowem wiosna wszelkimi drogami ku nam podąża, ziszcza nadzieje i raduje.

Znosiło się więc pobłażliwie jej kaprysy: dni dziwnie w tym klimacie chłodne i dżdżyste, a nadewszystko przykre owe błoto czarne i lepkie, wypełniające ulice wiejskie, po których wojskowi w różnych sprawach dążyli.

Po tych błotnistych ulicach do biur, kwater i kasyna brnąć musiały i nasze nadobne pracowniczki biurowe, służące „przy wojsku", jak mówią koledzy z Małopolski. Ciekawy bywał niekiedy widok pań w kostjumach i zgrabnych bucikach, zastosowanych do spacerów po eleganckich bulwarach Odesy, jak idąc wiejską ulicą, wykonywały fantastyczne skoki w różnych kierunkach i wybierały dla małej swej nóżki to dołek wydeptany końskiem kopytem, to kamień sterczący z błota, a czasem spadzisty wzgórek na skraju drogi.

Najgorsze były owe wzgórki wolne zda się od błota, a kryjące ohydną zdradę — po tłustej bowiem glinie nóżka zjeżdżała jak po lodzie i następowało... tragiczne powalanie garderoby.

Wspomniawszy o płci pięknej „przy wojsku" nie mogę pominąć aktualnej wtedy w naszej dywizji kwestji kobiecej, stanowiącej mały węzełek, dość trudny do rozwiązania dla tych szefów, którzy z jednej strony pragnęli zastosować twardy rygor polowego życia, a z drugiej usiłowali wykazać rycerską kurtuazję wobec słabych i pięknych (naprawdę!) istot.

Trojakiego rodzaju była owa płeć piękna. Do pierwszej, uznawanej przez władze, kategorji należały przedewszsytkiem siostry miłosierdzia, które z racji wysokiego i pożytecznego swego posłannictwa, muszą być zawsze wykluczane ze wszelkich „kwestji kobiecych", oraz kancelistki. Te ostatnie, mając przydziały służbowe, uważały się za osoby niejako wojskowe, na kwaterach były jak u siebie w domu, nie narzekały ani na cygański żywot, ani na zbytnią nieraz adorację ze strony młodych oficerów, śmiały się przy każdej okazji i bez okazji jak srebrne dzwonki i w żadnym razie nie pragnęły wywoływać aż „kwestji kobiecej".

Drugą kategorję stanowiły niechętnie widziane przez władze, czcigodne, choć przeważnie młode małżonki oficerów. Rozmaitemi drogami i sposobami wydostawszy się z Odesy, po wielu perypetjach wielce ucieszone odnajdywały mężów, ale wtedy tęsknota i obawa tych ostatnich o losy ukochanej żonki, pozostałej w rękach bolszewickich, zamieniała się najczęściej na troskę: co teraz zrobić z odzyskanym skarbem?

Wreszcie trzecią, bodaj najliczniejszą kategorję stanowiły „narzeczone" szeregowych, kaprali, sierżantów, a nieraz i oficerów. Niezawsze Polki, najczęściej Rosjanki lub Ukrainki.

Wiadomo — nasz żołnierz zawsze na dłuższych postojach nawiązuje znajomość, szczęśliwie przerywaną wymarszem. Przy rozstaniu bywają zwykle łzy, obietnice korespondowania, dozgonnej miłości i t. p. znane sceny o mniej lub więcej dramatycznym epilogu dla strony opuszczonej, ale zawsze z pewnym promykiem nadziei na temat: „Wróci Janko wróci i mnie nie porzuci"!...

Przy wymarszu z Odesy, gdy się wieść po mieście rozeszła, że dywizja opuszcza je na zawsze, zakochane panienki wpadły w rozpacz i jak która stała: w

lekkiem ubraniu, z parasoleczką w ręku — tak pobiegły za wojskiem. Stropieni amanci usiłowali im wytłomaczyć szaleństwo pomysłu i niemożliwość brnięcia pieszo przez rozmokłe stepy w miejskich pantofelkach.

Łzy wtedy padły z oczów niebogi na czarny szlak stepowy.

— Kocham cię, a ty mnie bolszewikom na pastwę zostawiasz?! — mówiła wątła istota odpowiednio załamując rączki.

— Rób, jak chcesz — mruczał ponuro zrezygnowany wojak — ja muszę iść w szeregu — i odchodził, a biedactwo brnęło wśród grzęskiej drogi i spoglądało błagalnie na ciągnące wozy taborowe.

Często woźnica zlitował się nad takiem pełnem zaparcia stworzeniem i obejrzawszy się, czy władza nie widzi, kiwnął przychylnie biczyskiem:

— Siadaj panna na wóz! A okryj się tą płachtą wedle deszczu i sierżanta, bo cię jucha spędzi, jak zobaczy.

Wskakiwało wtedy biedactwo na wóz, gramoliło się pod twardy mokry brezent i dygotało tam z zimna i obawy przed srogim sierżantem. Na popasach i postojach szarże nie były jednak takie srogie, a nawet często grały „w odbijanego", oczywiście stosownie do starszeństwa. Bywało więc tak, że biedne serduszko, które miało nieszczęście zakochać się w szeregowcu i za nim wyruszyło piechotą z Odesy, zdrożywszy się porządnie, nacierpiawszy chłodu i głodu, nabierało praktyczniejszych zasad i zaczynało dość sprytnie zabiegać o awanse w hierarchji wojskowej, a więc o przyjaźń kaprala, plutonowego, sierżanta, aż wreszcie, gdy posiadło wzajemność chorążego lub porucznika, nabierało pewności siebie, zdobywało czapkę z orzełkiem, stary płaszcz żołnierski i wcielało się w nielegalną legunkę, chętną do wszelkiej pracy „przy wojsku".

Z panienek, które wyruszyły pieszo za wojskiem, zostało dużo w Owidiopolu i Akkermanie, część jednak zdołała się jakoś „przylepić" do oddziałów, zwłaszcza pewien pułk piechoty (niestety nie nasz!) podziwiany był z tajemną zazdrością, gdy wjeżdżał do pewnej wioski: na każdym prawie wozie powoziła panna. Sierżant Łukasiewicz, nasz poeta pułkowy, nie omieszkał zaraz ułożyć na ten temat zgryźliwej piosneczki w której jedna zwrotka brzmi:

...I nie dowódca na przedzie,
Lecz wóz z babami jedzie,
Baba pogania — baba pogania.....

Ponieważ wyższe dowództwo (niemłode oczywiście) nie chciało uznać płci pięknej ani w roli amazonek, ani w służbie pomocniczej, więc już w końcu kwietnia padł rozkaz, dający do wyboru: obóz koncentracyjny (o zgrozo!) dla kobiet w Buzeo, lub wyjazd via Bukareszt do Warszawy. Pomruk głuchy poszedł wśród jednych — ciche zadowolenie wśród drugich. Pakowano manatki żon, ekspedjowano „narzeczone" i wogóle wszystkie inne cywilne naleciałości, obciążające dywizję, odpływały stopniowo via Galacz w głąb Rumunji, lub kogo stać było na daleką okrężną podróż — do Polski.

Jednak rygorzystom wojskowym mało tego było... Ktoś w sztabie mruknął, że i kancelistki mogłyby powędrować do kraju i zająć się właściwszą pracą przy domowej ku... pardon — przy rodzinnem ognisku.

(C. d. n.)

Skrzynka pocztowa

P. M. Żerdecki, Dzisna.

W sprawie K. i M. Niep. podajemy osobny komunikat.

Prosimy o przysłanie dokładnych dat, dotyczących złożonych podań w sprawie działki ziemi. Po otrzymaniu będziemy interwenjować. Prosimy również o przysłanie na nasze ręce swego podania do urzędu, lub instytucji, do których Sz. Kolega uważa za celowe zwrócić się o posadę. Podanie takie chętnie poprzemy.

Odznaka ogólnozwiązkowa jest w opracowaniu. Sprawa odznaczeń francuskich dotychczas nie została uregulowana. „Krzyż Ochotniczy" wydaje Związek b. Ochotników Armji Polskiej, Warszawa, Nowogrodzka 66—6. Wspomnień Sz. Kolegi wobec braku miejsca w „Głosie" narazie wydrukować nie możemy.

WYDAWCA: ZWIĄZEK KANIOWCZYKÓW i ŻELIGOWCZYKÓW.
REDAKTOR: LEOPOLD GODNIEWSKI, KPT. REZ.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Złota 14 m. 15. Tel. 296-61. Konto P. K. O. 17.544.

PRZEDPŁATA: miesięcznie 50 gr., półrocznie 3 zł. Egzemplarz pojedynczy 50 gr.

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10.